

W POPRZEDNIM TOMIE

Jest rok 1665. W położonej niedaleko Łowicza szlacheckiej wsi Stępowo mieszkają rodziny Wardów i Znyków. Dorota i Andrzej mają się ku sobie. Spotykają się ukradkiem w każdej wolnej chwili, mimo że mieszkają po sąsiedzku. I choć chłopak jest skłonny ożenić się z nią, ojciec dziewczyny jest temu przeciwny. Nie chce, aby jego najmłodsza córka została w Stępowie, obawiając się, że spotka ją los podobny do losu jego zmarłej żony. Dlatego szuka jej męża w Duplicach, sąsiedniej wsi należącej już do biskupów, gdzie pańszczyzna nie jest tak uciążliwa. Wydaje ją w końcu za wdowca, Łukasza Musiała.

Wojtek, brat Doroty, mimo niechęci, żeni się z dziewczyną wybraną przez ojca. Ich małżeństwo jednak w niczym nie przypomina typowego związku męża i żony, więc w końcu Rozalia nawiązuje relację ze swoim teściem, Bartłomiejem. Po kilku miesiącach Wojtek znika bez słowa.

W Duplicach żyje też starsza siostra Doroty, Basia. Ona i jej mąż, cioteczny brat Łukasza, Szczepan, utrzymują z Musiałami bliskie stosunki. Wszystko się zmienia, gdy pewnej nocy Szczepan gwałci ciężarną Dorotę.

Kilka lat później Musiałowie są już rodzicami dwóch córek i Dorota właśnie spodziewa się kolejnego dziecka, kiedy w ich obejściu pojawia się Cecylia. Musiałowa zatrudnia ją, nie wie jednak, że jej mąż i Cecylia mają wspólną przeszłość. I nie zdaje sobie sprawy, że Cecylia z chęcią zastąpiłaby ją na miejscu żony Łukasza. W końcu sprawy wymykają się spod kontroli, gdy chata Musiałów staje w ogniu...

Stępowo, 1676 rok

Nowy proboszcz złakowski, ksiądz Franciszek Wieczorek, z trudem pokonywał zaspę. Nogi obute w nowe skórzane buty, dopiero co odebrane od szewca, tonęły w głębokim śniegu. Spojrzał na chałupy przed sobą i odetchnął głęboko, wiedząc, że nareszcie dotarł na miejsce. Gdyby nie zaspę i wciąż padający gęsty śnieg już dawno byłby w Stępowie. A tak zmitrężył więcej czasu, ale podziękował Bogu w krótkiej modlitwie za bezpieczne doprowadzenie go do wsi.

Tego ranka proboszcz postanowił wreszcie załatwić jedną z pilnych – według niego – spraw. Zaraz po porannej mszy świętej przygotował się do drogi. Zdecydował, że pójdzie pieszo. Mógł poprosić kogoś, aby go przywiózł, ale szkoda by mu było woźnicy i zwierzęcia. Od czasu gdy kilka lat wcześniej, zimą, konie poniosły zaprzęg i srodze go poturbowały, sam nie sięgał po lejce i do zwierząt odnosił się z niezwykłą ostrożnością. Rozejrzał się ciekawie. Od czasu nagłego objęcia probostwa, zaraz po Wszystkich Świętych, nie widział nic poza Złakowem, a chciał poznać parafian, zobaczyć jak żyją. Miał nadzieję, że biskup nie będzie miał mu tego za złe.

Wokół była cisza jak makiem zasiał. Wszyscy zapewne siedzieli w chałupach, grzejąc się i przygotowując do zbliżającej się Wigilii. Tego roku zima zaczęła się w połowie listopada. Od tamtej pory trzymał solidny mróz, prawie codziennie padał śnieg, a jakby tego było mało, silny wiatr zawiewał go na pola i drogi, utrudniając komunikację. Proboszcz poprosił organistę, aby ten wytłumaczył mu, gdzie mieszkają ludzie, których chciał odwiedzić.

– Jak dojdziecie do wsi, skróćcie w prawo – rzekł organista. – I tam druga chałupa to będzie ta.

Ksiądz Franciszek zapamiętał dokładnie wskazówki i teraz stał właśnie przed tą drugą chałupą. Śnieg przygniatał ją do ziemi, małe okna były schowane pod szronem i zaspami. Chata była nieduża, poreperowana, uginająca się pod własnym ciężarem. Rozejrzał się uważnie. Wszędzie widział niewielkie chałupy, ledwo wystające spod śniegu. Jedyne leniwie unoszący się znad nich dym świadczył, że ktoś je zamieszkuje. Westchnął, zdając sobie sprawę, że to dużo biedniejsza wieś niż Złaków. Nie zamierzał jednak teraz myśleć nad losem parafian. Stępów miał swojego właściciela, to była jego odpowiedzialność, ksiądz był tu tylko po to, by głosić słowo Boże. Nie mógł sobie od razu pozwolić na konflikt ze szlachcicem.

Wszedł na plac i podszedł do drzwi. Uniósł rękę, ale nim zapukał, drzwi się uchyliły i zobaczył dobrze znanego sobie chłopca.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Franiu – przywitał się ksiądz, uśmiechając się do dziecka.

– Jaśnie wielmożny ksiądz proboszcz! – krzyknął Franek. – Na wieki wieków.

– Wpuścisz mnie do środka, czy tak będziemy stać?

Franio od razu się cofnął, pozwalając księdzu wejść, po czym zamknął drzwi i poprowadził go do izby.

– Matulu! Matulu, zobaczcie! Ksiądz proboszcz...

Rozalia uniosła głowę znad pieca, na którym gotowała zupę i spojrzała na gościa. Podbiegła, schyliła się i pocałowała go w dłoń.

– A toż to honor dla nas! Bartłomieju! – Podeszła do ławy, na której spał mężczyzna. – Bartłomieju, patrzajcie!

Warda spojrzał na Rózię zaspanymi oczami, potem powiódł wzrokiem po izbie i w końcu zauważył przybyłego.

– Ki czort? – wymsknęło się mu.

– Ksiądz proboszcz, tatulu!

– Wybaczcie, jaśnie wielmożny. Starym, ślepym... – Próbował się podnieść.

– Siedźcie. – Ksiądz podszedł o Bartłomieja i usiadł obok.

– Czym myśmy sobie zasłużyli? – zapytała Różia, przysiadając na zydlu.

– Pogadać z wami chciałem.

Rozalia i Bartłomiej spojrzeli po sobie, oboje tak samo zaskoczeni.

– A o czym?

Ksiądz spojrzał na Frania i skinął głową w jego kierunku.

– O nim.

Różia przeżegnała się szybko i od razu zaczęła mówić:

– Wiedziałam, że z tego jego biegania do kościoła nic dobrego nie wyjdzie. Ale jak ja mogę go upilnować? Toż to un zowdy tak się zakrynci, że ani się człowiek obejrzy, a już go ni ma. I nie patrzy czy mróz, śnieg czy deszcz. Jak on co spsotował, powiedzcie, to my zara...

– Uspokójcie się, Wardowa. – Ksiądz jej przerwał. – Franio nic złego nie zrobił. Wręcz przeciwnie.

– Przeciwnie?

– Jestem tu od niedawna, ale widzę, że z Frania najgorliwszy ministrant. Codziennie jest na mszy świętej, do komunii przystępuje i ciągle do kościoła przychodzi się modlić.

– Od maleńkości taki był – odezwał się Bartłomiej.

Ksiądz spojrzał zaciekawiony na mężczyznę. Dotąd gospodarz siedział cicho, pozwalał mówić kobiecie i się nie wtrącał.

– Jak tylko nauczył się pacierza, to ciągle rynce składał do modlitwy.

– Bóg widzi wasze uczynki. Pobłogosławił was dobrym dzieciakiem. Może trzeba o jego przyszłości pomyśleć?

Zarówno Różia jak i Warda spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Jakże to, pomyśleć? – zapytała kobieta.

– Franio bystry jest, szybko się uczy. Do tego uczynny i posłuszny. Nie myśleliście, aby go do szkół dać? Do miasta? Szkoda by było zmarnować taki talent.

– Jak bystry i szybko się uczy, to i dobrze – powiedział twardo Bartłomiej. – Będzie mu lży, jak już sam zacznie gospodarzyć.

– Wardo, czy wyście słyszeli, co powiedziałem? – zapytał pleban.

– Com miał nie słyszeć? Dzięki Bogu nie głuchym.

Ksiądz był przygotowany na to, że rodzice chłopaka nie od razu się zgodzą. Tylko że z tego, co widział w księgach, ojcu Frania było Wojciech, a nie Bartłomiej. Spojrzał na Rozalię, potem na Wardę.

– A wyście Bartłomiej czy Wojciech?

Nagle atmosfera w izbie się zmieniła. Ksiądz od razu wyczuł nerwowość i złość płynącą od gospodarza. Zerknął na Rozalię. Była przestraszona, patrzyła na starszego mężczyznę, jakby błagała go wzrokiem, by się nie odzywał.

– Ludzie mówią, co wy jak mąż i żona żyjecie! Grzech to wielki!

– Ludzie niech swojego obejścia pilnują! – krzyknął Bartłomiej. Widać było, że z trudem powstrzymywał złość. – Zowdy i na każdego coś znajdą!

– Ale prawda to, żeście nie chcieli się żenić? Sołtys podobno wam nakazywał, a wy nic.

– Odrobiliśmy! Wszystko odrobiliśmy! A sołtysowi mówiłem, żeby zaniechoł, bo nijaki nie weznie! – Spojrzał na Różię i widać było, że starał się uspokoić. – Jak mój Wojtek zaginął, ona sama została. Przy nadziei. Miałem ją stąd wyrzucić? To i została. Dzieciaka urodziła i tak żyjemy. Chłopok mówi mi „tatko”, bo innego łojca nie zno. A mi to nie przeszkadza. To taki grzech?